

JACEK WOJCIECHOWSKI

Sebastian Dawid Kotuła, *Wstęp do Open Source*,
Warszawa: Wydawnictwo Stowarzyszenia
Bibliotekarzy Polskich 2014, s. 168
(seria Nauka – Dydaktyka – Praktyka)



Na temat dostępności, otwartości oraz bezpłatności w publicznym komunikowaniu opublikowano już mnóstwo wypowiedzi, często jednak bez dostatecznej znajomości rzeczy, a bywa, że i w niepełnej zgodzie z sensem, z logiką oraz z pożytkiem. Wielozakresowe i wielowarstwowe problemy zjawisk z obszaru *access* są najczęściej sprowadzane do odbiorczej darmochoy – w dodatku przy niedokładnie przetłumaczonych terminach *open* (w istocie: ogólnodostępny) albo *free* (nieodpłatny), co tym bardziej myli – i nic z tego nie wynika. Tymczasem właśnie z bibliotecznego punktu widzenia jest to obszar aktywności szczególnie ważny

oraz nie całkiem (dla nas) bezpieczny. Dlatego trzeba koniecznie zwracać uwagę na każdą rozsądną wypowiedź w tym zakresie.

Otóż do takich właśnie zaliczam sygnalizowaną tu pracę Sebastiana Kotuły z lubelskiego Instytutu INiB UMCS – to autor interesującej książki poprzedniej, a także publikacji w „Bibliotece”¹ – traktującą o praktyce i ruchu (na rzecz) ogólnodostępnego **programowania** (software)². Mowa

¹ S.D. Kotuła, *Komunikacja bibliologiczna wobec World Wide Web*, Lublin 2013; idem, *Od Biblioteki Aleksandryjskiej do World Wide Web*, „Biblioteka” 2012, nr 16, s. 115–137; idem, *Prace Paula Outleta a World Wide Web*, „Biblioteka” 2013, nr 17, s. 153–167.

² Książka Sebastiana Kotuły uzyskała Nagrodę Naukową SBP im. Adama Łysakowskiego za 2014 rok.

więc nie o transmisji treści, ale o programach te treści przetwarzających, które też podlegają prawom dystrybucji, nabycia i użytkowania. Bibliotekarze powinni o nich przynajmniej wiedzieć i temu książka Kotuły – mimo szeregu niedostatków referencjalnych – służy. Bardziej szczegółowa wiedza byłaby potrzebna dla zawodowej specjalności, którą nazywam *inżynierią biblioteczną*, ale taka nie istnieje i założę się, że rychło nie powstanie, a może w ogóle nie.

Otóż wprowadzane do obiegu programy zawierają tzw. kody źródłowe, czyli szczegółowe opisy z instrukcjami, które podlegają prawom autorskim i restrykcjom, jak wszystkie wytwory komercyjne. Nabywcy mogą zatem używać ich zgodnie z licencjami, natomiast bez prawa do zmian, poprawek, rozwijania i przekazywania innym. Autor przyrównuje to do innych kupowanych **narzędzi**, niekoniecznie trafnie – chociaż ograniczenia istotnie są uciążliwe, ale też nikt sobie nie ulepsza w domu kupionego telewizora – i zarówno restrykcje, jak również komercyjny tryb rozpowszechniania (*proprietary and closed source software*) nazywa *egoistycznymi*. To nonsens.

Szerzej o tym w następnym omówieniu, ale muszę od razu zwrócić uwagę, że na takim *egoizmie* trzyma się cały świat: bez komercji mieszkalibyśmy w jaskiniach lub umierali z głodu, realizując mityczne koncepcje Włodzimierza Lenina. Ani bułki, ani samochody nie są darmowe i nikt piekarzom ani dilerom nie ubliża od egoistów. Otóż takie właśnie dyrdymały wypisuje się nagminnie w publikacjach bibliotekarskich oraz informatologicznych. Powtarza to również głośna publikacja na temat *open access*, którą w swoim czasie recenzowałem³. Zawodowa produkcja, zatem i twórczość, musi być materialnie gratyfikowana, inaczej staje się amatorszczyzną. Rzecz w tym, że **odbiorczy** brak odpłatności za produkt w OA nie ma nic wspólnego z pozbawianiem autorów wynagrodzeń honoraryjnych – najwyżej poza tym nie wypłaca się tantiem, ale to w ogóle praktyka nieczęsta – natomiast koszty ponosi ktoś inny niż końcowy odbiorca. Dokładnie tak jak w bibliotekarstwie: jakieś pensje dostajemy, ale użytkownik nie płaci bezpośrednio. Czy to tak trudno zrozumieć? Tymczasem Kotuła pisze, że „autorzy i tak nie otrzymują wynagrodzeń” (s. 60). Gdzie tak jest, jacy *autorzy*, a jeśli tak bywa, to czy to nie jest granda? Miliony publikacji powstały za darmo? Nie trzeba pleść byle czego.

Natomiast jest prawdą, że z kolei **użytkowe** ograniczenia, dotyczące zarówno kodów źródłowych w programach, jak i treści w naukowych publikacjach, są w praktyce bardzo uciążliwe, stąd wysyp rozmaitych

³ W. Crawford, *Open Access. What you need to know*, Chicago 2011 – recenzja w: „Przegląd Biblioteczny” 2011, nr 4, s. 567–568.

inicjatyw, tak OA, jak też podobnych. W odniesieniu do tych programów pojawiły się mianowicie sugestie reguł zliberalizowanych, określane łącznie niekiedy jako *copyleft*, gdzie zachowuje się tylko część zakazów i wskazań. W ramach tzw. *open source* użytkownik ma prawo do bezpłatnego korzystania z programu w dowolnym celu i miejscu, modyfikacji, udoskonalania i rozwijania, dostosowania do potrzeb, a także przekazywania innym.

W celu lansowania takich zasad Richard Stallman powołał do życia **Free Software Foundation** (poprawnie: Stowarzyszenie na rzecz Ognodostępnego Oprogramowania). A od 1998 roku istnieje organizacja **Open Source Initiative**, czyli **OSI**, która zajmuje się tym właśnie. I o tym ruchu, oraz o praktyce OSI, pisze Sebastian Kotuła w swojej książce – oferując sporo pożytecznych informacji i porad, a poza tym proponuje też retrospektywny rzut oka na przeszłość OS.

Jest tam przegląd rozmaitych aplikacji OSS, ze wskazówkami doboru – w tym: aplikacji do zarządzania informacją. Dla bibliotek, zwłaszcza dużych, to mogą być opinie bardzo przydatne. Tak jak charakterystyka różnych baz oprogramowania OS i operacyjnych systemów z rodziny Linux. Można nie znać się na tym szczegółowo, ale ogólne zorientowanie jest w bibliotekarstwie nieodzowne i taka też jest autorska intencja.

Jakkolwiek nie zawsze wystarczająco klarowna. Wielokrotnie bowiem autor zwraca uwagę na darmowy (nieodpłatny) charakter programów, ale równocześnie pisze, że jednak *ktoś* musi ponieść nieuchronne koszty. No to trzeba jeszcze dopisać *kto*, bo przecież nie krasnoludki. A znów kiedy odnosi się do programów multimedialnych, charakterystykę *multimedia literacy* ewidentnie myli z tym, co potocznie nazywa się edukacją medialną.

Biblioteczne aplikacje programów wymagają oczywiście przetestowania oraz indywidualnego dostosowania w każdej bibliotece. Także – usunięcia ewentualnych błędów, a potem rozwoju i zmian, na co OS pozwala. Kotuła pisze o tym dosyć szczegółowo (choć nie jest to instrukcja ściśle techniczna) oraz zwraca uwagę na program LibLime, wspomagający biblioteczne dostrojenia.

Co przy tym istotne: opinie autora odnoszą się do bieżącej sytuacji w Polsce, stąd ich walor praktyczny. Moim zdaniem: to szczególnie ważne. Bo chociaż rośnie ogólne zapotrzebowanie na serwery, oparte na Linuxie, tak jak i popyt na programy wmontowane w reguły *open source* – to akurat rodzime piśmiennictwo dotyczące **tych** praktyk (i udziału bibliotek) wygląda na skromne.

Kotuła wyraża pogląd, że na razie nie ma wypracowanej strategii rozwoju OS. Dalszy postęp jest oczywiście możliwy, ale w tej chwili głównie

w trybie spontanicznym. Nie wiadomo więc, jak to będzie wyglądało za kilka lat.

Z ogólnie dobrą opinią o tej książce trzeba jednak zestawić rejestr słabości. Także treściowych – zwłaszcza kiedy autor wykracza poza obszar dobrze sobie znany. Wtedy pojawiają się nieracjonalności. Oto na s. 8 jest uwaga, że „każdy tekst, odczytywany nielinearnie, to hipertekst”. Wobec tego hipertekstem musiałby być każdy obraz, każda fotografia, nie mówiąc o filmie... A zaś na s. 47 pojawia się wywód, jakoby „przez tysiąclecia ręczne pisanie tekstów było jedyną metodą utrwalania wiedzy i informacji”. Nieprawda: w najlepszym wypadku – główną. No i nie wypada w tekście naukowym (inaczej niż potocznie) mylić pojęcia *wiedzy* (s. 41, 47, 57), czyli treści indywidualnie przyswojonych, z *informacją*, czyli zawartością obiegowych komunikatów referencyjnych.

Kompletnie mylna jest supozycja (s. 88), że „w komunikacji podaż kształtuje popyt”, jak również że „nauka w większości jest finansowana z budżetu państwa” – bo tak jest ewentualnie w Polsce, w Rosji i na Białorusi, ale w innych krajach już niekoniecznie. No i nie uchodzi tak pisać o bibliotekach jak na s. 136. Generalnie zatem potrzeba większej dyscypliny eksplikacyjnej oraz ograniczenia nadmiernej dezynwoltury, także w wypowiedziach na tematy poboczne.

Również standardy stylistyczne nie są w tekście odpowiednio zachowane – to jest zresztą koszmarna przypadłość wszystkich autorów, wychowanych na internecie – i w niektórych fragmentach nie da się zrozumieć, o co chodzi. Zbyt często dochodzi do głosu drewniany sposób referencji (przykładowo): „przyznać należy” (co to za szyk?) oraz „wcale nie na zawsze” (s. 88), „wskażę zostaną przykładowe” (?? s. 109), „system [...] który nieco przybliży” (s. 113), „zjawisko otwartych bibliotek” (co to takiego?, s. 141) – oraz szereg innych, w tym powtarzany jak polska nauka i publicystyka długa i szeroka koszmarek *non profit* (po polsku: niekomercyjny).

Poza tym, z nieznanых powodów, autor większość rozdziałów i podrozdziałów poprzedził zapowiedziami, co będzie dalej – jakby nie ufając kompetencjom czytelników. Przypomina to kwestię konferansjera na estradzie: „teraz zaśpiewa panna Zuzia”. No i jest całkowicie rozbrajająca enuncjacja na s. 143: „tego rozdziału w ogóle mogłoby nie być”. Hm.

Skupiłem się na sposobie eksplikacji celowo, bo to jest teraz prawdziwe nieszczęście pisania, nie tylko naukowego. Katastrofa! Bełkot produkują już nawet co młodsi profesorowie, a redakcje i wydawnictwa są bezradne, bo właściwie należałoby wszystko pisać na nowo (kto?), podczas gdy podaż i tak jest mizerna.

Umiejętność pisania nie jest wrodzona – do sprawności dochodzi się poprzez **świadomie ulepszaną** praktykę. Każdy tekst mianowicie trzeba

poprawić trzy do pięciu razy (niekiedy odłożyć na tydzień, dwa, żeby w pamięci zatarły się wstępne intencje), zanim trafi do publikacji. Inaczej się nie da.

Owszem: to ciężka praca i wielki wysiłek. Dlatego, kiedy ktoś plecie, że profesjonalnym autorom nie należy się za pisanie finansowa rekompensata, to serdecznie doradzam koktajl octu z piołunem do wypicia. Radykalnie przywraca rozsądek.

